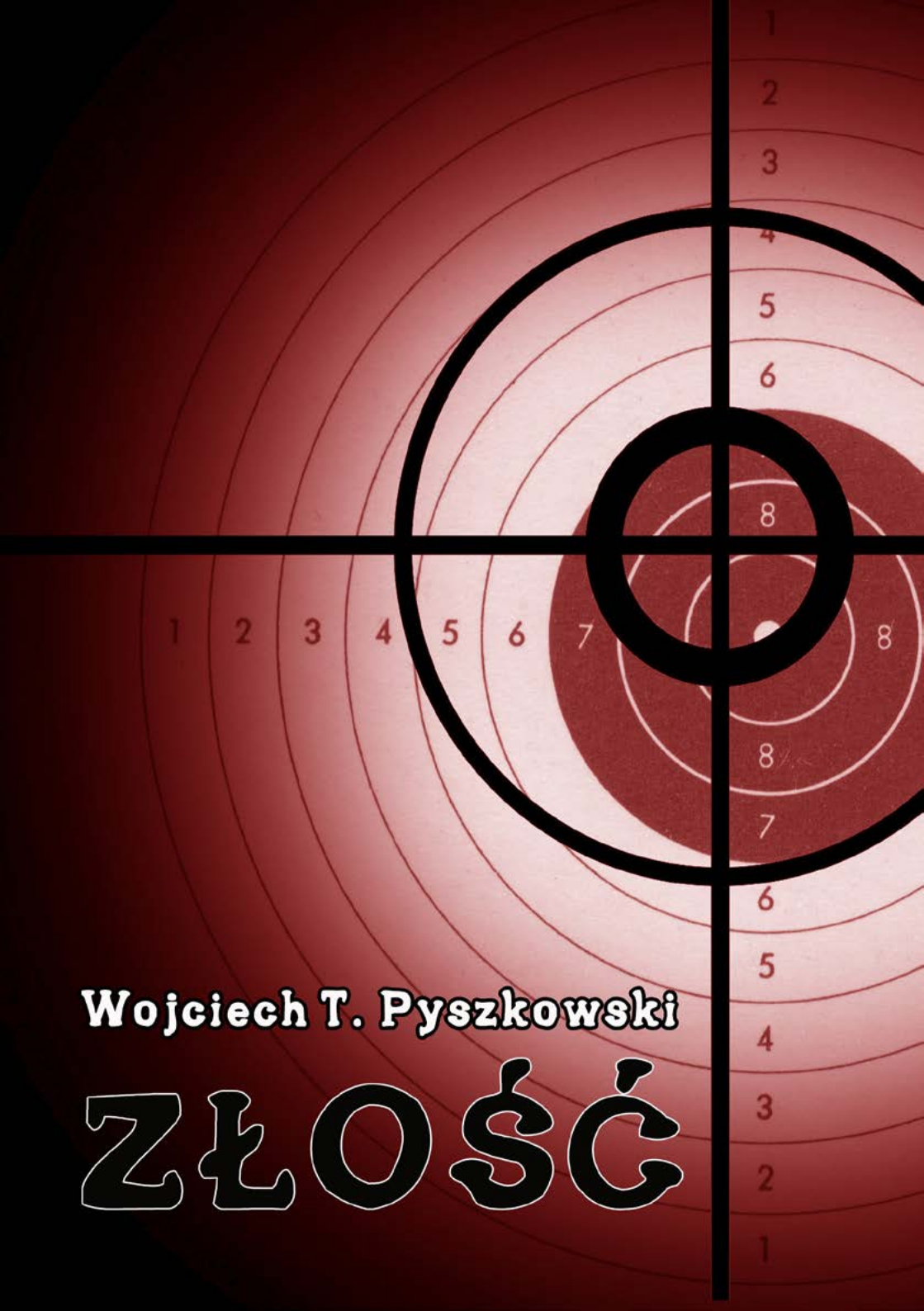




Wojciech T. Pyszkowski

ZŁOŚĆ

WOJCIECH T. PYSZKOWSKI

ZŁOŚĆ

Wydanie II poprawione

[Kup książkę](#)

© Copyright by
Wojciech T. Pyszkowski & e-bookowo
Grafika na okładce: shutterstock
Projekt okładki:
e-bookowo

ISBN 978-83-7859-515-1

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie II 2015

[Kup książkę](#)

Wojciech T. Pyszkowski *Złość*

Transformare necesse est.

DWANAŚCIE

Tom odstawił szklankę i przeciągnął się z rozleniwieniem. Do pokoju, przez do połowy przysłonięte storami okno, wpełzał wczesny listopadowy mrok. Biel ścian stopniowo nikła. Szarość pokrywała wypełniony książkami regał, czerniała na dywanie i prześlizgiwała się po płytkach PCV w głąb mieszkania.

W kącie, w zasięgu ręki, mruczało niezrozumiałą muzyką radio.

Powolnym, sennym ruchem ściszył je i pozwolił, by resztki piwa przeciekały po języku jedynie siłą ciężenia. Zniewalał go gorzkawy smak i wilgoć na nabrzmiałych wargach.

Przymknął oczy i poddał się pieszczocie, rozluźniającej ciepłym tchnieniem lędźwie. Przesunął palcami po włosach, twarzy, delikatnej skórze szyi i stwardniałych sutkach; bolały trochę. Powędrował dalej, w dół, poprzez gęsty kożuch zarostu na brzuchu i zatrzymał się, wyczuwając rosnące napięcie; pulsowało wabiąco. Przysunął nogą gazetę, by nie poplamieć dywanu, ale Katarzyna poruszyła się. Cienki koc zsunął się i odkrył ją, zwróconą teraz ku niemu.

Poprzez szpary powiek dostrzegał majaczące w ciemności ciało.

– Tom!

Zastygł, przytrzymując rękę.

– Tom!

– Słucham.

– Co ty tam robisz? Chodź do mnie.

Stanął nad nią, z trudem otrząsając się z dziwnego pragnienia.

– Dotknij – poprosił.

– Pochyl się. Nie mogę dosięgnąć.

Ukląkł na krawędzi tapczanu i słysząc zadowolone mruczenie położył się tak, aby poczuć zapach jej brzucha.

– Kochany, co ty chciałeś zrobić?

Wargi...

– Przecież masz mnie. Czy ci nie wystarczam?

Język...

– Kocham cię.

I kiedy jeszcze raz, w końcowym błysku, wykrztusił, że ją kocha, ujrzał po raz kolejny jego TWARZ.

JEDENAŚCIE

Nast nie był zawieszony w próżni. Od początku wiedział, czego chce i czego może się spodziewać. Być może pozory myliły, ale nie miał złudzeń, że misja, jakiej się podjął, była niewdzięczna i trudna.

Nie po to przygotowywał się do niej przez długie miesiące, aby teraz dać za wygraną. Byle banda głupców ze swoimi podłymi insynuacjami nie zawróci go z drogi.

Psiakrew, wystarczy spojrzeć na te gazety! Co za tytuły! O...

„Wszyscy ludzie Nasta”, „Czy Nast w ostatnich latach przebywał w kraju?”, „Dlaczego Nast uniknął służby wojskowej?”, „Którędy prowadziła droga Nasta do ojczyzny”...

Albo ten tytuł, proszę:

„Prokuratura ma zamiar wytoczyć Nastowi sprawę o zniesławienie premiera”.

Nast pogardliwie wydał wąskie wargi i odłożył gazetę.

– To była dobra robota – zauważył Doradca. – Mówiłem ci, że musi przynieść właściwy efekt.

Nast zbył go milczeniem. Niepotrzebna mu była opinia Doradcy. Już dawno przygotowywał ten ruch, który, wbrew pozorom, miał dać zwiększone poparcie. Sytuacja na szachownicy zmieniała się szybko, ale nikt nie brał poważnie

kandydatury Nasta. On jednak, mimo że grał czarnymi, chytrze przesunął konia tak, że zagroził królowi.

Nie przypadkowo wybrał właśnie to miasto, w tym gęsto zaludnionym, przemysłowym regionie kraju. Pojechał tam na tydzień przed pierwszą turą wyborów i rzucił w szczelnie wypełnioną salę:

– Oskarżam premiera Mozę o zdradę narodu!

W sali tłoczyli się ludzie, którzy słyszeli już przedtem o Naście, a teraz chcieli go sobie z bliska obejrzeć. Zadawali pytania, by w jego odpowiedziach znaleźć nadzieję na lepsze jutro. Nast roztaczał przed nimi oczekiwany miraż i za przykład dawał siebie:

– Moje przedsiębiorstwo – mówił – jest niewielkie, ale pracujący w nim ludzie mogą godnie zarobić. I my, tutaj, w tym kraju, też możemy godnie zarobić. Wystarczy zreformować podatki i p o z w o l i ć ludziom zarobić. W tym kraju jest głęboki kryzys. Przez ostatnie półtora roku produkcja spadła o 40% i przybyło długów. Nawet, gdyby rząd nic nie robił, byłoby lepiej.

To do ludzi trafiało...

Doradca uśmiechnął się.

– Nast, już wkrótce będzie jasne, czy przejdiesz do drugiej tury, czy nie.

Pnie starych drzew w podstołecznym parku wytłumiały szum wielkiego miasta. Rozjarzone okna zabytkowego pałacyku rzucały złotawe refleksy na wysypany żwirem podjazd, wydobywając z mroku owal pustego klombu.

W rozwartej na oścież bramie przeżyli się ubrani w wojskowe mundury wartownicy. Ich nieruchome twarze zdawały się nie dostrzegać wjeżdżających z chrzęstem samocho-

dów i wysiadających z nich ludzi w wieczorowych toaletach.

Stojący w półcieniu człowiek podreptał w miejscu. Marzył mu stopy, był głodny, zmęczony i zły. Marzył o powrocie do domu, ciepłych kapciach i filiżance gorącej kawy. Po chwili ruszył w kierunku głównego wejścia i zatrzymał się przed wozem transmisyjnym państwowej telewizji.

„Ci faceci wszędzie się wkręca”, pomyślał i ostrożnie pociągnął uchylone drzwi.

W środku, odwrócony plecami, siedział ktoś nad niewidoczną konsoletą. Na głowie miał słuchawki i wykrzykiwał do przyłączonego do nich mikrofonu:

– Halo, jak słyhać? Raz, dwa, trzy, cztery...!

Nad nim świeciły monitory z planszą wywoławczą, zegarem i ogólnym widokiem sali.

– Słyhać coś?... Cholera, znowu nic.

Facet machnął ręką i odwrócił się, by sięgnąć po stojącą obok butelkę z coca-colą.

– Ach, to ty – powiedział. – Wejdz na moment, napijesz się.

Znali się jeszcze z czasów, kiedy dzieliło ich wszystko.

– Nie mogę. Wiesz, muszę mieć parę rzeczy na oku. Czy wszystko w porządku?

– Sam widzisz, bajzel jak zwykle.

Facet uniósł butelkę, pociągnął kilka łyków i skrzywił się.

– Ciepła i bez gazu.

Wytarł usta wierzchem dłoni.

– Jak tu może być wszystko w porządku. Na tym sprzęcie daleko nie zajedziemy. Wszystko rozsypuje się. Popatrz, to, to i to ma co najmniej po dwanaście lat... Ale cyrk, co?

– Jaki cyrk?

– No, ta cała wyborcza szopka.

– Cyrk jak cyrk. Zobaczymy, co z tego wyniknie.

– A ja ci mówię, że wyniknie z tego generalna kłapa. Jak

przyjdzie co do czego, to pamiętaj, że ja ci pierwszy o tym powiedziałem...

– Halo, wóz, jak słyhać?

– O, nareszcie! – Facet przysunął do ust mikrofon. – Słyhać, słyhać. Co się z wami dzieje?

Na monitorze z ogólnym widokiem widać było, że już zebrali się prawie wszyscy. Goście, podzieleni na niewielkie grupki, skupili się w strategicznych punktach sali.

Człowiek u drzwi wozu przymrużył oczy, ale nie zdołał rozróżnić żadnej twarzy. Chętnie wszedłby do środka i wypił trochę coca-coli, ale lada chwila spodziewano się premiera Mozy. Wycofał się więc z westchnieniem i obrzucił czujnym okiem podjazd.

Służba w Ochronie Rządu nie była łatwa.

Selawa zamknął się w swoim pokoju i nie przyjmował nikogo. Czuł się zmęczony. Zwłaszcza ostatni tydzień dał mu się porządnie we znaki. Niedospane noce, wczesne wstawanie, podróże i spotkania, spotkania, nie kończące się spotkania. Miał dosyć tych ciągłych rozmów, pytań i odpowiedzi. Tych wieców w salach i pod gołym niebem. Tłumu, nad którym panował, ale którego czasem nie rozumiał.

Czy to wszystko opłacało się? Lub inaczej – czy to, co chciał osiągnąć, było rzeczywiście jemu potrzebne? Czy koszt, jaki poniósł i jaki miał jeszcze ponieść, będzie wart spodziewanego rezultatu? A metoda walki, jaką wybrał, czy naprawdę była tą najwłaściwszą?

Wątpliwości tego rodzaju nękały go ostatnio często. W chwilach podobnych do tej, osaczały i drażyły, wbrew jego woli.

Potrząsnął głową z niesmakiem.